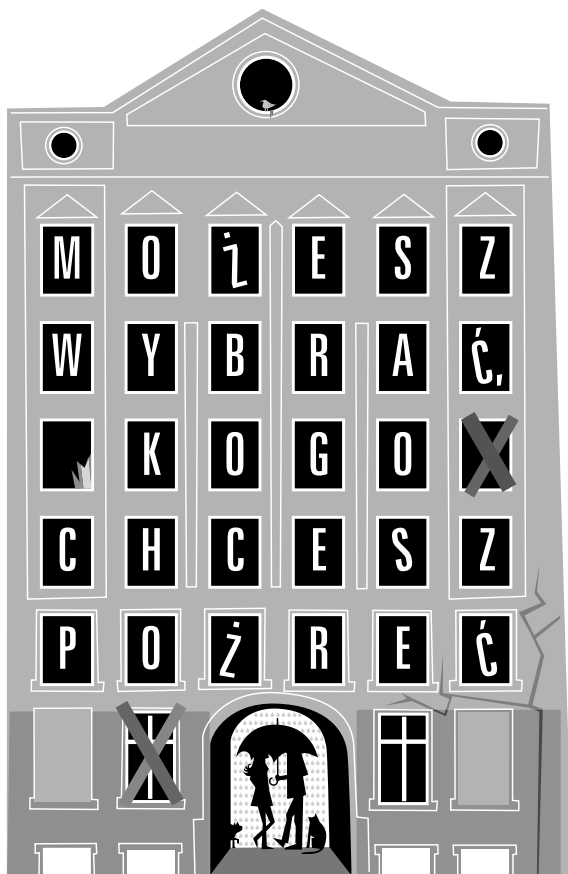


Dorota Combrzyńska-Nogala



Leon

Leon Landa z wściekłością trzasnął drzwiami kuchennymi, aż zadźwięczały szyby. Następnie, przemierzając hol w pełnych furii podskokach, poślizgnął się na czarno-białych płytach posadzki. Zaklął szpetnie pod nosem. To go rozśmieszyło. Nie, że zaklął, tylko refleksja, że szpetnie. Tak wyrażał się ojciec Irki, jego macochy. Sama Irka wychyliła się zza kuchennych drzwi i powiedziała z żalem:

– Ach, Lo!

Wisząca jej na szyi dziewczynka z burzą ciemnych sprężynek na głowie darła się wniebogłosy, bo zabrakło jej ulubionego jogurtu.

– Jeszcze zobaczysz, do czego doprowadzi rozpuszczanie tego twojego potwora! – syknął Leon.

– Sam miałeś przecież ochotę na jogurt. A poza tym ten potwór jest twoją siostrą – przypomniała mu Irka.

– Moja droga Irko! – powiedział z godnością, zbierając się z podłogi. – Kiedy dociera do mnie, że sklep znajduje się w odległości tysiąca lat świetlnych od tej dziury, ochota natychmiast mi przechodzi. W dodatku potwór jest tylko w połowie moją siostrą!

– To przy okazji kup też śmietanę i lody. A na rowerze lata świetlne zamieniają się w głupie trzy kilometry. W połowie to bardzo dużo. A ty – zwróciła się do płaczącego dziecka – cicho być!

Pulchna jak pączek i tak samo z wyglądu słodka Waśka nieoczekiwanie umilkła, przewróciła całkowicie suchymi gałkami ocznymi, a potem przymknęła powieki. Tak zresetowana do-dała do listy zakupów:

- Lody białe, rzecz jasna! Wa-wa-wa...
- Waniliowe – odpowiedziała jej matka.
- Maniera językowa twojego ojca niebezpiecznie wchodzi nam w krew. A ona chłonie jak gąbka. Rzecz jasna! – burknął, jeszcze raz trzaskając, tym razem wejściowymi, drzwiami.

Na podjeździe okazałego domu, posadowionego na sporym wzgórzu, stał jego rower. Wypadł na polną drogę i pedałowując energicznie, wyładował swoją frustrację. Od samego początku pomysł ojca i jego młodej żony, żeby wybudować dom pod miastem, wcale mu się nie spodobał.

- Zobacz, Jasiu, jak tu pięknie! – zachwyciła się jego macocha jakies dwa lata temu, podczas wycieczki na łono natury.

Irka zawsze zachwycała się wszystkim. I brzozowym laskiem, i sosnowym zapachem, i pofałdowanym terenem, a w szczególności działką z rozległym widokiem na okolicę. Czasem nawet zachwycała się Leonem. No a ojciec zachwycał się Irką, więc natychmiast zadzwonił pod numer widniejący na przybitej do drzewa desce i tak oto teraz przenieśli się do nowo wybudowanego domu.

- I córcia będzie miała świeże powietrze. I Lo będzie miał gdzie grać w piłkę – wyliczała zalety projektu wyniesienia się z miasta macocha.

Prychnął szyderczo na to wspomnienie. Owszem, ma gdzie grać, tylko nie ma z kim, do cholery jasnej. Wszyscy koledzy zostali w mieście. A on tu tkwi jak na zesłaniu. Nic dziwnego, że pobliskie wiochy noszą takie nazwy jak Syberia i Moskwa. Ojciec i Irka nawet na wakacje w tym roku nie pojechali, delektując się nowym ogrodem i okolicznościami przyrody, a nade

wszystko nowym dzieckiem – rozwrzeszczaną i rozpuszczoną Waską. To znaczy Walerią, zwaną początkowo Warką, ale po jego stanowczych protestach, że to imię przywodzi na myśl piwo i jeszcze narobi krzywdy małej, zmieniono je na Waską. Mimo wszystko to jednak jego siostra. Znowu okazali się zupełnie nieporadni i nieprzewidujący. Czasami odpowiedzialność za ojca i jego młodą żonę bardzo go przytłaczała.

Kiedy dom zaczął powstawać, też się z nimi cieszył, ale potem wszystko się zmieniło i wróciło do pierwotnych odczuć. Przestał kopać piłkę, a zaczął jeździć na rolkach, tyle że w okolicy dominował piach. Perspektywa posiadania rodzeństwa okazała się dużo łatwiejsza i ciekawsza niż samo jego posiadanie, które w praktyce było trudne. Bardzo trudne. Waśka wymuszała rykiem wszystko. W ogóle lubiła sobie powrzeszczeć dla samej przyjemności słuchania własnego głosu. Wydawanie nieartykułowanych dźwięków było chyba jej pierwszym w życiu hobby. Mimo że kochał siostrę, nie dawało się tego wytrzymać. W nowym domu pokrzykiwania niosły się jakoś lepiej niż w ich miejskim mieszkaniu... A może to on się zmienił i wszystko go irytowało. W każdym razie miał z rodziną napięte stosunki. Nawet z Mateuszem, ojcem Irki, do którego mówił „dziadku”, choć już do jego córki nigdy nie powiedział „mamo”.

Ze sklepu postanowił wrócić okrężną drogą. Między laskami powstawały domy. Te starsze pyszniły się wypielęgnowanymi podjazdami i trawnikami bez jednego chwastu. Dookoła było cicho i pusto, jeśli nie liczyć pól spalinowych i stukotu młotków na dachach. Zazwyczaj takie dźwięki sprawiały mu dużą przyjemność. Tutaj jednak były samotne na tle marudzenia wróbli, brzęczenia owadów, wysokiego piania kogutów w pobliskiej zagrodzie, dlatego go drażniły i przypominały o dotkliwej stracie życia w industrialnym zgiełku. W mieście to co innego. Tam układają się w całą miejską symfonię z takim

na przykład śpiewem szyn, turkotem podmiejskiego tramwaju czy trzaskaniem garów, dobiegającym z kuchennych okien pobliskiego przedszkola.

Patrzył na niewielkie wioski przy krętych, wąskich drogach. Wyglądały niezwykle malowniczo i prawie jak na końcu świata, a nie w środkowej Polsce. Co za koszmar – jęknął w duchu, pogrążając się w chandrze. Zjechał ostro ze sporej, stromej góry i to przyniosło mu chwilową ulgę, dopóki nie natknął się na ostry kamień, który uszkodził dętkę. No ładnie. Jego rower nie nadawał się do takich karkołomnych zjazdów. Irka się zezłości, a Waśka wścieknie. Albo odwrotnie – myślał smętnie, prowadząc rower.

Szedł już dobre pół godziny, kiedy jakiś samochód zatrzymał się obok niego.

– Cześć! – odezwał się dziadek Mateusz.

– Cześć! – odpowiedział ponuro. – Dętka mi poszła.

– Dawaj, wrzucimy do bagażnika. Oj, widzę, że nastrój mamy minorowy.

– Nie wytrzymam tu – westchnął ciężko Leon, wsiadając do samochodu.

– Nie podoba ci się? Zobacz, jak ładnie! – próbował go pocieszyć po raz kolejny Mateusz. – Zobacz, ile się domów buduje. – Powiódł wzrokiem znad kierownicy.

– Owszem, ale większość szpetnych. Aż mnie serce boli, jak na to patrzę.

– A co ci się w nich nie podoba?

– Proporcje. Łamane niepotrzebnie dachy. Za wielkie w stosunku do bryły, podobnie jak garaże. A przede wszystkim nie podobają mi się betonowe płoty. Tandeta.

– Zgoda. Masz oko. Ale jest trochę dobrych projektów.

– Za mało. I wszystko jak z poprzedniej epoki, żadnej nowej jakości – zapalał się chłopak, zwolennik awangardowego budownictwa.

– Dalej wybierasz się na architekturę? – zainteresował się dziadek.

– Nie. Na rolnictwo – prychnął szyderczo Leon, wpatrując się tępo w rżysko za oknem.

Przez chwilę jechali w milczeniu.

– Brakuje ci miasta – bardziej stwierdził niż spytał Mateusz, a Leon tylko wzruszył ramionami.

– Myślałem, że będzie łatwiej – burknął.

– Zawsze możesz wsiąść w autobus i przyjechać do Łodzi.

– Mówisz jak Irka. To nie jest to samo. W nocy nie mogę spać, tak tu martwo. Cisza wyje mi w uszach. Zakładam słuchawki z muzyką, ale i tak słyszę, że nic nie słychać. A wiesz, jak tu rzadko jeździ autobus?

– Wstrząsające – westchnął ze współczuciem dziadek, odgarniając z twarzy długie do ramion, kudłate tak samo jak u wnuczki, ciemne włosy z pasmami siwizny.

Zatrzymali się przed domem. Brama sama się przed nimi otwierała. Widocznie Irka musiała go niecierpliwie wypatrywać. Mateusz wyładował jego rower i zabrał lekką torbę podrózną. W kuchni, siedząc na wysokim krześle, Waśka uderzała łyżką w stół i ryczała:

– JA KCEJ JOGURT! JA KCEJ JOGURT! II LO-DY! LO-DY!
JA KCEJ JO-JO-JO-GURT! LO-LO-LO-DY! Y-Y-Y! DZIA-
DEEEEEK! FURA! FURA!

Macocha popatrzyła na Leona ponuro, pewnie miała z córką ciężką przeprawę. Zaproponował jej, żeby może zaprosiła do nich supernianię. To nawet pasuje. Wypasiona chałupa, kasy po kokardę i tylko bachory coś nie z tej bajki. Jej oczy zalśniły łzami.

– Imaginuj sobie – łagodził dziadek. – Jadę sobie ci ja do was, a tu nagle spotykam Leona. Rower mu się zepsuł. Dlatego, moja droga córuś, tak długo go nie było!

Mateusz bywał rezydentem w ich nowym domu. Na stałe mieszkał teraz w Warszawie. Kiedy kończyli budowę i chwilowo wystąpił brak płynności finansowej, sprzedał swoje mieszkanie i pomógł córce. Sam kupił sobie kawalerkę na Filtrach w Warszawie, dokąd i tak musiał jeździć w sprawach zawodowych. Był tłumaczem francuskiego, podobnie zresztą jak Irka, tylko ona zajmowała się wyłącznie literaturą.

Leon doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że macocha trochę się przeliczyła i mieszkanie pod miastem, kiedy skończył się urlop męża, nie było tak różowe, jak sobie wyobrażała. Żadna przyjaciółka nie wpadła w środku dnia na kawę i ploteczki. Ona też nie zabierała dziecka pod pachę i nie leciała do sklepu albo na spotkanie. Nie mogła również wezwać na dwie godziny opiekunki do dziecka i spokojnie popracować. To znaczy niby wszystko mogła, ale to nie było już takie proste jak w mieście. I odrobinę zaczęła się w tym wszystkim gubić. Leon rozumiał, ale wcale jej nie współczuł. Sama jest sobie winna. Niezłe się załatwiła, a przy okazji jego. Jaki ten ojciec głupi, że się tak dał omamić i zrobić sobie wodę z mózgu.

Matusz rozejrzał się po kuchni, która przedstawiała istne pobojuwisko, i zakasawszy rękawy koszuli, zabrał się do porządkowania, nakazując córce, żeby usiadła sobie spokojnie i odpoczęła, chociaż to on dopiero co wrócił z podróży. Wnuczka teraz pohukiwała, udając sowę, i dalej waliła łyżką w blat, aż echo niosło.

– Lo, daj jej wreszcie ten jogurt! – poprosiła zniecierpliwiona Irka.

Zapadła błogosławiona cisza, na którą tak przed chwilą narzekał. Dziadek Mateusz miał tę miłą cechę, że zawsze zjawiał się w odpowiednim momencie, niby jakiś anioł stróż, i wszystko jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki zaczynało działać lepiej lub w ogóle ruszało z miejsca.

Leon i Irka usiedli przy stole i z przyjemnością przypatrywali się jego celowym, oszczędnym ruchom. Bałagan zniknął, ustępując miejsca kojącemu serce ładowi. Z ogrodu dobiegał śpiew jakiegoś ptaka, a przez duże okno wpadał chłodnawy powiew i migocące słoneczne światło, które jakoś zdołało przedrzeć się przez gęste klonowe liście. Całe pomieszczenie, łącznie z wypełniającymi je osobami, pokrywała ta transparentna tapeta drgającej gry światła i cienia. W takich momentach przesilenia, jak je nazywał, kiedy go coś zachwycało bądź przerażało, lub też z jakichś, nie zawsze uświadomionych względów było ważne, widział to w zwolnionym tempie. Zupełnie filmowo, choć dźwięk się czasem wyłączał i w takim formacie ładował w pamięci Leona na zawsze.

– Co to znaczy ład... – szepnęła z uznaniem Irka.

– Ład – powtórzył jej ojciec. – „Ład” jest przyjemniejszym i bardziej adekwatnym słowem niż „porządek”. Nie uważacie?

Zastanowili się i przyznali mu rację. Wszyscy prócz Waśki, zajętej samodzielnym jedzeniem jogurtu, którym zdążyła się już cała upaprać, łącznie z włosami.

– A co z obiadem? – spytała bezradnie Irka.

– Kupiłem po drodze dwa kurczaki pieczone – pochwalił się dziadek. – Mam w Rogowie takie jedno miejsce. Wszystko świeżutkie i wprost rozplywa się w ustach – zachwalał, aż nawet jemu napłynęła ślina do ust. – A sałatę mamy, zdaje się, w ogrodzie?

Mieli, bo sam założył grządkę warzywną. W większości zajmowały ją właśnie różnego gatunku sałaty. Najlepszym pomysłem była ta nazywana amerykańską, z której obrywało się rosące wznwyż, lekko czerwonawe i chrupiące liście.

– A ziemniaczki? – zaniepokoił się Leon, ponieważ uwielbiał taki tradycyjny zestaw. – Czy mamy?

– Mamy – uspokoiła go Irka.

Dziadek opasał się zielonym fartuchem. Wszedł, wyzwalając się z krawata, ojciec i przywitał ich ciepło. Miał ochotę przytulić córeczkę, ale rzuciwszy na nią okiem, zdecydował się tylko na cmok w czubek głowy.

– Czy to jakiś eksperyment pedagogiczny? – spytał.

Spojrzał z uznaniem na uporządkowaną kuchnię, ale nie powstrzymało go to przed ciepnięciem krawata byle jak na blat i zagospodarowaniem najbliższej przestrzeni kluczami, gazetami, jakimiś swoimi papierami i innymi drobiazgami.

Po obiedzie Leon zaległ w hamaku między dwiema brzoza-
mi i próbował czytać *Metro* Glukhovskiy'ego, ale nie mógł się skupić. Było pięknie, jeszcze ciepło, ale już niezbyt gorąco. Jakiś winny, słodkawy zapach napływał od strony sadów. Chciałby chłeptać te ostatnie chwile lata, delektować się ich wybornym, zabarwionym melancholią smakiem, ale... za kilka dni rozpoczynał się rok szkolny, a on nie mógł sobie wyobrazić dojeżdżania z ojcem do miasta jak przedszkolak. Owszem, był autobus, ale musiałby wstawać o świcie. Nie mówiąc już o innych problematycznych kwestiach. No, może rower...

No i matka dała o sobie znać, pisząc jakiś staroświecki list na papierze, zamiast po ludzku wysłać mail. Zawsze była dziwna... Wyciągnął kopertę i popatrzył na nią ze zmarszczonymi brwiami. Wolał, kiedy nie dawała znaku życia. Wolał o niej nie myśleć. Nie była mu do niczego potrzebna. Sama myśl o niej zwiastowała kłopoty i powodowała dziwne swędzenie skóry wzdłuż kręgosłupa i uczucie ledwie wyczuwalnego, ale stale obecnego niepokoju.

Miłka

Miłka leży na wznak. Płasko. Leży na balkonie. Nad ulicą. Zupełnie nieruchomo. Pod chmurami. Prawie nieżywa. Leży, a chciałaby się zerwać. Lecieć gdzieś, coś zrobić energicznie lub w ogóle coś zrobić, na przykład sensownie się odezwać, coś stworzyć. Stworzyć coś całkiem nowego albo stworzyć cokolwiek... Popęlnić coś zdroźnego, niedozwolonego, społecznie nieakceptowanego lub zrobić cokolwiek... Ale nic, leży, ani drgnie i nic, ale to kompletnie nic jej się nie chce. Bose stopy sterczą w górę, porzucone i bezużyteczne w tej chwili. Zielony lakier lśni metalicznie w słońcu. Chude, patykowate nogi wystają z džinsowych szortów, długie, proste włosy o jasnym, ale jakimś takim myszowatym odcieniu prawie zakrywają twarz, ale nawet ręką nie ruszy, żeby je usunąć. Widocznie jej nie przeszkadzają. A może przeszkadzają, ale nie ma ochoty. Na nic nie ma ochoty. Tylko śni o stanie łaski, w jakim żyła prosta, francuska malarka Serafina z filmu obejrzanego wczorajszej nocy.

– Miłka, załęgłaś mi się tu na cały dzień – burczy brat. – A muszę kwiaty podlać, bo więdną.

Bez odzewu.

– Rusz się, bo wilka dostaniesz – gdera Krzysiek. – Całkiem ci na rozum padło.

Manewruje konewką wśród skrzynek pełnych czerwonych pelargonii i surfinii, które obfitymi kaskadami przelewają się za bariereki balkonu i zwisają nad Piotrkowską. Stara się nie nadepnąć na siostrę, co dalej leży jak jakiś zewłok bez słowa.

– Na rozum padło i mowę odjęło – komentuje jej milczenie.

Obserwuje ją uważnie, a potem polewa zapadnięty brzuch siostry, osłonięty koszulką w kolorze spranego błękitu.

Wtedy Miłka, dalej milcząca jak kamień, odwraca się i przykłada policzek do ciepłego betonu. Pod nią płyną ludzie rzad-

kim strumykiem, przemykają riksze, a ona jest jak korek – stabilna lub jak dżin osadzony w butelce – niewzruszona, mimo że młodszy brat leje teraz wodę na jej rozgrzany kark. Wyobraża sobie, że mknie tym balkonem kanionami ulic, jak Luck Skywalker swoim pojazdem, szybko i gładko, słysząc tylko charakterystyczny terkot silników zamiast tego nieustającego gderania wokół niej, nad nią i nawet od środka, kiedy się czasem w koszmarnym śnie przyśni narzekająca na jej ślamazarność i tępotę nauczycielka.

Wizualizacja pojawiła się prawie natychmiast i poczuła niepojętą euforię, uwolniona od siebie i swojej bezwoli. Miłka, podróżująca w czasie i przestrzeni swoich wewnętrznych światów, nagle wyzwolona, na nowo zrodzona, jak ptak wykluty z pachnącej, bananowej skórki słodkiego owocu z Etiopii, lata nad miastem swoim ukwieconym pojazdem.

– Miłka, Miłka – budzi ją głos ojca i zapach jego wody kolońskiej wyrwa ze stanu euforii, a gdzieś w tle odzywa się mama:

– Jest taka sprawa... – zaczyna tajemniczo, choć Miłka dalej leży, wystawiając kościste łopatki na popołudniowe słońce.

– ...że nie możesz tu zalegać nieustannie, gdyż ja tu kwiatki hoduję, a ty mi przeszkadzasz... No tym zaleganiem mi przeszkadzasz nieustannie – wytrajkotał Krzyś i słyszała, jak nabrał powietrza w płuca, żeby jeszcze coś dodać, ale widocznie matka jakoś go uciszyła, bo wypuścił je z płuc.

Coś się zakotłowało. Może nawet dostał prztyczka w ucho. Przez chwilę stali nad nią w ciszy. Czuła ich milczącą obecność, ich zatroskane spojrzenia wbite w nią, rozciągniętą u ich stóp. Nawet otworzyła oczy i przez filtr włosów obserwowała, co się dzieje pod nią w dole. Ktoś robił zdjęcia fasadom kamienic. Ktoś inny wskazywał palcem ich balkon. Rzeczywiście, tonący w kwitnącym zielsku, wyglądał z dołu imponująco. Może nawet uchwycą na zdjęciu jej wystające pięty, bo już rodziny,

łtoczącej się w drzwiach, to raczej nie. No, chyba że z drugiej strony ulicy.

– Bo widzisz... – zaczęła spięta mama, jak zwykle ostatnio, kiedy zwracała się do Miłki – babcia Krysia... – zawiesiła głos, pewnie licząc naiwnie, że córka odwróci się i nie będzie musiała przemawiać do jej pleców.

– Pracownik babci Kryśki złapał jakąś infekcję – nie wytrzymał zwolnionego tempa rodziców Krzysiek.

– Nie przerywaj mamie – szepnął ojciec.

– Streszczajcie się. Długo będziemy tak tu nad nią stali w tej lampie? Czy mogę obrysować zwłoki? Mam kredę!

I rzeczywiście poczuła, że coś zaczęło się przesuwac wzdłuż jej lewej nogi, a potem przestało. Rodzice znowu się na niego oburzyli, że obcesowy. Przeszłpowali z nogi na nogę. Widziała kątem oka i słyszała delikatne ocieranie się butów o próg balkonu.

– Ze mną tak się nie cackacie! – wrzasnął i wyręczył ich.

– Grypę ma, choć lato! A może nawet coś gorszego od grypy! Słyszysz, niedojdo?! Trzeba babce pomóc. I ty to masz zrobić, bo ja jestem małoletni, a ty masz skończone szesnaście lat i masz się socjalizować.

– Krzysiek! – syknął tata.

– No co? Sam to powiedziałeś!

– Uff! – westchnęła mama. – Tak. Mniej więcej o to chodzi. Przed pójściem do nowej szkoły dobrze ci zrobi taka praca. Przełamiesz się w kontaktach z obcymi.

– I co ty na to, córeczko? – spytał ojciec z lekką obawą w głosie.

Mowy nie ma – pomyślała, ale nie wyartykułowała tego. Nie wiedziała, co robić. Miała ochotę przeciec przez balkon w formie nanocząsteczkowego syropu, scalić się na chodniku i uciec przed tym nieoczekiwanym wyzwaniem gdzie pieprz

rośnie. Gdzie rośnie pieprz i cytryna dojrzewa. Jasna aniela, co za koszmarny problem się pojawił niespodziewanie – pomyślała w panice. Krzysiek przerwał niezręczną dla wszystkich, oprócz niego samego, sytuację i wrócił do obrysowywania konturu jej ciała. Nie wytrzymała i rzuciła się na niego z pięściami.

– Żyje! A jednak żyje! – zaśmiewał się kretyńsko.

Rodzice westchnęli z ulgą, wycofali się z ostrego słońca w kojący cień pokoju i z tego bezpiecznego dystansu spytali prawie chórem:

– To co, przemyślisz to, córeczko?

Zabrzmiało to asekurancko, jakby nie byli jeszcze gotowi na zderzenie z jej otwartą i twardą odmową. Wzruszyła ramionami.

– No niedojda! Akurat przemyśli! – odezwał się skrzekliwy głos babki zza pleców rodziców. – Na jakie leczenie by ją dać... – przerwała i po namyśle dodała: – Albo lepiej do zawodu przyuczyc! Są takie te... spółdzielnie inwalidzkie! Szczotki i pędzle mogłaby robić – obwieściła wszystkim triumfująco.

– Co też mama! – obruszył się ojciec.

– Niestety, babciu – odezwał się z żalem w głosie Krzysiek. – Zlikwidowali je ponad dwadzieścia lat temu. Miałem o tym w szkole na WOS-ie.

– Co ty powiesz! No popatrz tylko, wszystko zniszczyli, nawet szczotki oddali obcym – parsknęła z niezadowoleniem i odjechała w głąb mieszkania swoim skrzypiącym wózkiem inwalidzkim.

– Sama jesteś obca! – mruknęła pod nosem Miłka.

– Dosyc tego! – ucięła mama.

Po dwóch dniach ciężkiego namysłu i jeszcze gorszej atmosfery w domu zgodziła się, choć wcale nie miała na to ochoty. Nie bała się pracy, tylko opuszczenie bezpiecznych pieleszy własnego pokoju i wystawianie się w sklepie na widok publicz-

ny było dla niej dużym wyzwaniem. W dodatku już sobie wyobrażała, jaki babcia Kryśka da jej wycisk. No, ale oczekiwanie na rozpoczęcie nowego roku szkolnego okazało się trudniejsze niż myślała i w połączeniu z marudzeniem Krzyśka i babki, którzy przy każdej okazji obwieszczali, że jest walnięta, sprawiło, że z furią i pod przymusem wyraziła zgodę na dobrowolne oddelegowanie do pracy.

Stała teraz za ladą niewielkiego sklepiku ze zdrową żywnością w hali na placu Barlickiego i obsługiwała masę ludzi, za każdym razem oblewając się zimnym potem, kiedy jakiś klient zwracał się bezpośrednio do niej. Babka zasadziła się za kasą i podawała produkty, które znajdowały się bliżej jej zmaltretowanych reumatyzmem kończyn. Duch jednak drzemał w niej waleczny, więc za nic nie chciała myśleć o przejściu na zasłużony odpoczynek.

Miłka mogłaby obsługiwać całościowo, ale bała się, że liczenie pod czujnym okiem zupełnie obcych jej osób byłoby gorsze niż pod tablicą w klasie, dlatego postawiła warunek, że bez wydawania reszty albo w ogóle.

– Idiotka! – prychnął brat. – To wasza wina – zwrócił się oskarżycielsko do rodziców. – Na wszystko jej pozwalacie. Strzeli focha i ma, co chce! A mnie to się ze wszystkiego rozlicza i stawia do pionu.

– No wiesz! Jak możesz tak mówić? – oburzyła się mama.

– Właśnie! – wyjątkowo zgodziła się z nią Miłka. – To ty wszędzie się panoszysz. Rozstawiasz swoje święte doniczki po całym mieszkaniu, choć dobrze wiesz, że tata ma alergię na pleśń.

– Bez przesady – zaprotestował ojciec. – Większą alergię mam na kurz.

– Słyszałaś! Nie ma alergii!

– Ma!
– Nie ma!
– Ma!
– To niech przyniesie zaświadczenie od lekarza! – zażądał Krzysiek.

– Dajcie spokój! Idź po lody – próbował łagodzić ojciec.
– Jak zwykle! Niech ona raz pójdzie. Ja mam robotę. A ona nic nie robi!

– Robotę! – prychnęła. – Wielka mi robota. Wiesz, co powiedział dozorca?

– No, co powiedział? – Pochylił się nad nią z zainteresowaniem.
– Powiedział – Miłka doskonale naśladowała starego Września z kiepem w kąciku ust i grymasem niedowierzania i zdegustowania jednocześnie – „chłop jak dąb, a kwiatki sadzi”!

– Tylko tyle? I co, mam się popłakać? A mnie mówił, że dzięki moim kwiatom wszyscy się zatrzymują przed naszą kamienicą i podziwiają.

– No i co? – Złapała się pod boki. – Kwestię „chłop, a kwiatki sadzi” wyartykułował z widoczną pogardą!

– Widoczną widocznie tylko dla ciebie, gdyż jesteś zacofana.
– Dlaczego jestem zacofana? – zdumiała się.

– Bo myślisz stereotypowo. Baba może sadzić kwiatki i opiekować się bachorami, a chłop ma iść na wojnę i prowadzić traktor. Słyszałaś może coś o feministkach?

– Wcale nie myślę stereotypowo! – krzyknęła, czując, że sama zapędziła się w kozi róg.

– Myślisz! – Babka przejechała z warkotem przez długi korytarz i zniknęła w kuchni.

Kiedy chciała, miała doskonały słuch. Kiedy zaś coś miało się okazać dla niej niewygodne, nagle głuchła i nic do niej nie docierało. Aby nie być posądzoną o jakąś starczą demencję bądź złośliwość, tłumaczyła to naukowo, z denerwująco prze-

mądrzałą miną, chwilowo gorszym przepływem krwi w naczyniach krwionośnych dotleniających mózg. Gorszym nie spowodu wieku, broń Boże, tylko w wyniku nękających ją ciężkich chorób. Jednak Miłka nie dałaby sobie odciąć ręki za choroby babki Kryśki.

Takie właśnie domowe przepychanki i awantury z babką i Krzyskiem doprowadziły ją do miejsca za ladą, gdzie czuła się całkiem obnażona. Jeszcze tego samego dnia wieczorem zamknęła się w łazience, umyła włosy i przypatrywała się sobie bez cienia uśmiechu, bez żadnego wyrazu czy choćby odrobiny akceptacji i porozumienia z sobą samą po drugiej stronie lustra. Rozczesawszy starannie włosy, zakryła nimi całą twarz. Dopiero wtedy poczuła się bezpiecznie. Postąła, delektując się chwilą, a potem wzięła nożyczki i wyrąbała w gładkiej zasłonie wielką dziurę, odsłaniającą tylko usta i sam czubek nosa. W okolicach oczu rozgarnęła nieco włosy palcami.

Tak ukryta następnego dnia poczuła się odrobinę lepiej, więc kiedy starsza kobieta o wyglądzie wiedźmy z impetem postawiła na ladzie wielki, wiklinowy kosz i zaczęła z niego wyciągać jakieś zawiniątka, nawet nie drgnęła, tylko czekała na dalszy rozwój wypadków, chociaż babka Kryśka pojechała na swoją porcję porannych plotek i była sama.

– Niech spróbuje! – zażądała obca, wyciągając w jej stronę kozik z drewnianą rączką i grudą żółtawego sera na końcu lśniącego ostrza. Miała na policzku znamię wielkości fasoli i staroświeckie, złote kolczyki z koralami w uszach.

Miłka wyciągnęła ostrożnie rękę i wzięła ser w dwa palce. Trzymała niezdecydowana, aż kobieta gestem zachęciła ją, żeby zjadła. Przez moment się zastanawiała, czy powinna. A jeśli to jakaś zła czarownica i zapadnie w długi sen? Krzysiek powiedziałby, że i tak jest śnięta, więc co za różnica. Spróbowała.

– O Matko Boska! – westchnęła czarownica. – Udławisz się tymi kudłami! Spinaczem jakim se ściągnij, żeby na gębę nie leciały. Pani Krystyna gdzie?

– Zaraz przyjdzie – bąknęła, przenosząc bezradnie wzrok z kolczyków na znamię i odwrotnie.

– Dobry? – spytała.

– Yyy...

Miłka nie wiedziała, czy dobry, czy wprost przeciwnie. Dziwny był. Jeszcze takiego nie jadła.

– To bierzecie? – nalegała kobieta, każąc dziewczynie podjąć szybką decyzję, co sprawiło ją w kompletny popłoch.

Na szczęście przyjechała babka Kryśka. Rano miała wizytę u fryzjerki i teraz dumnie obnosiła swoją nową głowę. Ufarbowane na blond włosy do złudzenia przypominały fryzurę Marilyn Monroe. Tym większy był szok, kiedy patrzyło się na poraną bruzdami twarz babci. Gdyby aktorka nadal żyła, pewnie tak właśnie by wyglądała. Może nawet też jeździłaby na wózku inwalidzkim? Kto wie – zastanawiała się Miłka. W każdym razie prawdopodobne jest, że po prostu w jakiejś chwili olśnienia przewidziała to i postanowiła zrezygnować z długiego życia, wybierając wieczną młodość w pamięci ludzkości. Mówiła o sobie, że jest pomyłką. To zupełnie jak ja – rozczuliła się nad sobą i Marilyną dziewczyna.

– Powiedziała, że dobry – trochę na wyrost zakomunikowała kobieta od sera.

Babcia od razu zapłaciła za sery, nawet nie próbując, dopiero jak tamta sobie poszła, wzięła trochę i smakowała w zamysleniu przez chwilę.

– Ser dojrzewający! Ten ciut gorzkawy! Jak mogłaś nie zauważyć?! – spojrzała na wnuczkę z niedowierzaniem. – Do niczego się jednak nie nadajesz! – Jeszcze raz skosztowała, a po głębokim namyśle dodała: – Właściwie tak tylko aby-aby, ale jednak.

– Nie czułam. – Miłka próbowała odnaleźć językiem na podniebieniu ten smak.

– Nie szkodzi! I tak mam na niego amatora. Lubi takie. Zadzwoń i powiedz, żeby przyszedł. – Pacnęła krzywym palcem w przyczepioną do ściany listę klientów.

– Mam do niego zadzwonić i powiedzieć, żeby przyszedł po gorzki ser? – wołała się upewnić dziewczyna.

Z niedowierzaniem obserwowała ręce babci, próbując się nimi zachwycić, odnaleźć w ich starczej formie coś pozytywnego. Coś, co by nie przerażało. Porównała z nimi swoje dłonie, szczęśliwa i zarazem pełna szarpiącego serce współczucia dla naznaczonego upływającym czasem ciała starej kobiety na wózku inwalidzkim, jak czasem myślała o babce. Szczególnie zaś w chwilach, kiedy tamta wyżywała się na niej. W tej chwili odkryła jednak, że zachwycić się można przepięknym kształtem babcinych paznokci.

– No dzwoń! – ponagliła.

Miłka wpadła w panikę, ale wzięła wciśniętą w dłoń komórkę. Jąkając się i zacinając, przedstawiła sprawę, a potem wy-czerpana opadła na krzesło.

– Byłam u tych z wędlinami na kawie, byłam, póki jeszcze ruchu dużego nie ma. A tu wchodzi taka starowina, no mówię ci, strasznie zgrzybiała, oczy wyblakłe, nogi stawia tak ledwo, ledwo, choć bez laski. A głowa to jej tak chodziła! – Pokazuje, jak kobiecie trzęsła się głowa. – No cud, że w ogóle do hali się przywlekleła i głosem też takim bardziej z za grobu, nie uwierzysz, poprosiła o dziesięć deka boczku dla tatusia! – naśladuje słaby głos staruszki: – „Tylko tłustego, bo tatuś lubi tłuste, a ten ostatnio to za chudy był!”. Wyobrażasz sobie?! Dla tatusia! Aż mnie poderwało z ciekawości. Myślę sobie, że może o mężu tak mówi. Już spytać miałam, ale słyszę, że Miecia z nią zagaduje, znakiem tego znają się, to co będę wścibska, potem się wy-

pytam, więc wytrzymałam. I wyobraź sobie, ojciec tej biedaczki rzeczywiście żyje! I tłusty boczek jak gdyby nigdy nic wpierdała. Niektórzy to mają szczęście do cholesterolu. A z kolei ten ratownik, co po dyżurze bułki kupuje u Tadzika, to mówił, że mieli w nocy pacjentkę w stanie zejściowym, co osiem lat, nie uwierzysz, jak ci powiem – zrobiła przerwę dla lepszego efektu – osiem lat antybiotyk brała!

Babka Kryśka podniosła palec z długim czerwonym paznokciem i wytrzeszczyła oczy na wnuczkę. Miłka wiedziała, że czeka teraz na jej zadziwienie: „No co ty?”, „Dlaczego?” albo „Po co?”, albo chociażby „No co ty powiesz?”. Postanowiła jednak nie dać jej tej przyjemności. Czasami miała takie małe satysfakcje, jak teraz, za te wszystkie upokorzenia z jej strony, więc milczała. Ta odczekała stosowną chwilę i dokończyła:

– Osiem lat temu lekarz przepisał jej antybiotyk na jakąś zwykłą infekcję, więc łykała, bo nie powiedział, kiedy skończyć. Ciekawość tylko, skąd recepty brała? – zastanowiła się. – W każdym razie na tyle musiała być obrotna, żeby je załatwić, choć jak but głupia, to wiadomo. No mówię ci, wyjałowiła się na amen. Na amen! Nic tam już w niej nie było. Cud, że tyle lat żyła. Powiedział, że mi powie, czy przeżyła... Pani kochana – zwróciła się do klientki. – Olej lniany na zimno tłoczony wszystkie oleje ma pod sobą, nawet ten śródziemnomorski z oliwek. Słowo honoru pani daję. Ja, żeby nie ten olej, tobym już od lat... – zastanowiła się, coś tam licząc w głowie – ...siedmiu dawno w piachu leżała, a tak, pani patrzy! – Stała przy ladzie, opierając się na dłoniach.

Miłka dopiero teraz zrozumiała, że tak naprawdę była potrzebna babce do pilnowania stoiska w okolicy drugiego śniadania, kiedy ruch na chwilę się zmniejszył. Wtedy babka wyruszała na objazd całej hali. Zaglądała do innych sprzedawców, zbierała najświeższe wiadomości i plotkowała, ile wlezie. Oczy

jej błyszczały energią, która zdawała się rozsadzać ją od środka. Po takiej objazdowej terapii czasem nawet wstawała z wózka i podpierając się ramionami o ladę, udawała, że wózek nie jest jej wcale potrzebny, a nawet miewała momenty nadzwyczajnej wspaniałomyślności.

– Panie kochany – zwróciła się do klienta, pytającego o czerwoną herbatę. – Moja herbata czerwona najlepsza w całej Łodzi. Na trawienie zbawienna wprost niesłychanie. Że co, droga? Dobry produkt musi kosztować! A jak tłuszcz spala! – Machnęła ręką, jakby tym ruchem odpychała i unieważniała wszystkie frakcje złego cholesterolu. Czerwony lakier załśnił jeszcze intensywniej w sztucznym świetle hali. Jak spod ziemi pojawił się nagle Krzysio. Babcia aż pojaśniała na jego widok. – To mój wnusio – pochwaliła się przed mężczyzną od herbaty. – Na roślinach zna się jak jaki profesor. Dobra nasza herbata? Prawda?

– Oczywiście, babciu. Doskonała na utrzymanie dobrej sylwetki – powiedział brat, obrzucając fachowym okiem mężczyznę.

Miłka aż podniosła brew w mimowolnym podziwieniu nad jego niezwykłą umiejętnością błyskawicznej oceny ludzi. Rzeczywiście, klient był w wieku, kiedy niektórzy zaczynają tyć, a jednocześnie widać było po nim desperacką chęć zachowania wiecznej młodości. Wcisnęli mu dwie paczki cudownej herbaty.

– A mówiłaś, że śmierdzi szczurzymi szczynami – przypomniał babci wnusio, kiedy tylko klient oddalił się na stosowną odległość.

– Bo śmierdzi! W życiu bym tego do ust nie wzięła, ale ludziom się wydaje, że im gorsze w smaku, tym bardziej skuteczne. Przejdź się teraz i odetchnij – zezwoliła łaskawie Miłce, więc ta dosłownie w jednej chwili zniknęła z boksu.

Wąsała się po hali trochę bez celu, ale wszystko było lepsze od przebywania w zasięgu rażenia babci Kryśki i brata, który lubił odwiedzać stoisko.